

ARNOLD GALOPIN.

ZAWIKŁANA SPRAWA.

5

— Och Stang, za kogo ty mnie masz? — zawołałem, nibyto dotknięty. — Czy ty możesz mnie posądzać o coś podobnego... Czy to ja jestem...

— Już dobrze, już dobrze, nie gniewaj się Ralfie!... nie trzeba mi tego brać za złe... ja czasem lubię sobie pożartować... ale to bez złej myśli. No, podaj mi rękę!

Bez przekonania uściśnięłem rękę tego dwuznacznego indywiduum, rękę, którą niebawem zapewne przyjdzie mi skuć kajdankami.

— A teraz będę się ubierał — oświadczył Stang. — Jeżeli cię to zenuje, możesz poczekać na mnie na polu.

Zapewniłem go, że nie i tym razem szczerze. Przecież, ażeby być obecnym przy tej ceremonii, popelniałbym więcej podłości, niż dworak, rwący się do tego, by pomagać przy ubieraniu króla. Siadłem sobie przeto na niskim krzeselku i przybrałem pozę i minę młodzieńca, dumającego o niebieskich migdałach. W prawym kącie zielona, kitajkowa firanka osłaniała garderobę szofera. Ta firanka niezupełnie sięgała do ziemi i mimowoli hipnotyzował mnie widok półtuzina błyszczących obcasów, widocznych z poza niedostającej do ziemi kitajki.

Stang przed lusterkiem, zawieszonym na oknie, golił sumiennie brodę, co mu na razie przeszkadzało mówić. Plecami był do mnie zwrócony i ręka moja już się instynktowo wyciągała w kierunku rzędem stojącego obuwia... Chciałem uchwycić dowód prawdy, opanowałem się jednak. Lusterko mogło mnie zdradzić... Ach! pochwycić, pochwycić parę tych trzewików, choćby tylko jeden trzewik i biedz, biedz do Green-Park!

Bojąc się, bym nie zdradził miotającego mną wzruszenia, zacząłem nucić dla kontenansu:

„Po bładem liczku łezka spłynęła,
Kiedym ją żegnał nad brzegiem mórz —
A moją duszą żalność szarpnęła,
Bo ja jej nigdy nie ujrzeć już!...“

— A to co? Co ty tam śpiewasz? — odwrócił się ku mnie Stang.

— Taką sobie piosenkę żeglarza.

— Toś ty służył w marynarce?

— Tak jest, służyłem.

— Czy długo?

— Półczwarta roku.

— A w Brazylii — czy ty byłeś w Brazylii?

— Byłem owszem... Dlaczego pytasz?

— Tak sobie tylko.

I zaczął dalej skrobać brzytwą brodę. Czułem, że nie śmiał stawić mi pytania, które mu wargi paliło... jednakże ja odgadywałem myśl jego... Oczywiście słyszał o tem, że rząd brazylijski nie wydaje zbrodniarzy i już układał swoje plany... Ogoliwszy się, Stang podszedł do kitajkowej firanki; odsunął ją i ukazała się skromna jego szatnia. Mnie serce gwałtownie zaczęło bić. Rząd obuwia, starannie wyglansowanego, błyszczał przed moimi oczyma. Było tego cztery pary, w tem para kaloszy śniegowców. Stang zdjął z kołka kraciaste pantalony, przywdział je starannie, a potem zawrócił po trzewiki, nachylił się i zastanowił.

Sledziłem uważnie jego ruchy. Wziął najpierw w rękę parę sznurowanych półtrzewików, formy amerykańskiej, zważył w rękę i postawił na miejscu. Para zapinanych bucików stała obok; na te się zdecydował. Szybkim ruchem otarł je rękawem z pyłu, którego zresztą nie było i postawił je przed krzesłem.

— A niechże cię kaci! — zachwyciłem się — ty, to się stroisz, jak uie byle kto!... a trzewiczki masz, jak jaki lord!

— To u nas tak!... — mrugnął ku mnie Stang — na nic sobie nie potrzebujemy żałować...

I zaczął wdziewać trzewiki. Czyniąc to, bez ceremonii wyciągał ku mnie nogi, to jedną, to drugą naprzemian i zaprentował mi z kolei obiedwie swoje poduszki. Długie były, wąskie, zwązające się ku końcom, z końcami prosto ściętymi. I były podziewane!

Nie wiem już, jaki skrupuł, jaka potrzeba upewnienia się jeszcze lepiej, sprawiła, że nie rzuciłem na szofera, nie przewróciłem go i choćby z pomocą brauninga, nie wydarłem mu tych dowodów winy, świadectw spełnionego morderstwa... „Mój przyjaciel“ naturalnie ani na chwilę nie przypuszczał, jaka walka wrzała w moim umyśle, podczas

gdy on spokojnie zapinał guzik za guzikiem... W pozycyi, w której się znajdował, łatwoby mi było przewrócić go na ziemię... Jednakże kilka błędów, popelnionych w początkach mojej kariery, nauczyło mnie unikać przedwczesnych wybuchów. A przytem nie moją było rzeczą aresztować tego człowieka. To już należało do urzędowej policyi.

Stang tymczasem spokojnie kończył toaletę. Uzupełnił ją szkockim krawatem, pikową białą kamizelką, kurtką z szewiotu, granatową; przywdział popielatą filcowy kapelusz kształtu melonika, wziął w rękę trzcinową laseczkę i wyciągnął z szuflady parę nowych żółtych rękawiczek, których jednak nie naciągnął. Nagle jednak spostrzegł, że zapomniał czegoś w swoim roboczym ubraniu; był to portfel z brązowej skóry, wypchany papierami; wsunął go szybko a nieznacznie do kieszeni, jak gdyby się lękał, że ja zobaczę, co on zawiera. Wreszcie spojrział na zegarek:

— Brawo! — zawołał — zdążę jeszcze na pociąg, który odchodzi o jedenastej czterdzieści sześć!... Do widzenia, chłopcze!... Idź, zjedz śniadanie na mieście! Na rogu Sussex-Street i Wimbledon Place jest mała, niedroga restauracyjka, gdzie mają wyborne piwo... Radbym cię tu zatrzymać... ale sam rozumiesz, że to niemożliwe... Dopóki ja tu jestem, wszystko w porządku, ale tak... toby się mogło Betsy nie spodobać... Ja wrócę prawdopodobnie około piętej... szóstej najdalej!... No, do widzenia! a nie upij się aby!

I Stang, uściśnawszy mi rękę, odszedł dziarskim krokiem.

Rozdział V.

Nie tracąc ani chwili czasu, wziąłem, jak to mówią, nogi za pas i podążyłem w stronę lasku, który mi rano służył za schronienie. Wyszędłem stamtąd po chwili, przedzierzgnięty w skończonym dżentelmana. Udało mi się nawet kapelusz odnaleźć. Zamiast wracać do siebie, poszedłem spiesznie do kupa automobilów, nazwiskiem Blosscham, który mieszkał u wejścia do miasta. Dostałem się do garażu, wołając:

— Panie Blosscham! Panie Blosscham!

Mały człowieczek, o skośnych oczach, wysunął się z poza jednego z automobilów, u którego właśnie nadywał pneumatyki; spojrział na mnie zaskoczony:

— Czem panu mogę służyć? — zapytał, kłaniając się.

— Jakto? czy pan głowę stracił? Nie poznaje mnie pan?

— Nie, proszę pana... to jest, zdaje mi się, że pana już gdzieś widziałem... ale...

Przypomniałem sobie moją twarz ucharakteryzowaną, której nie zdążyłem obmyć.

— Zaraz panu powiem moje imię... tymczasem będę od pana żądał przysługi... Muszę stanąć w Melbourne przed przyjściem pociągu, który wychodzi z Brood-West o jedenastej czterdzieści sześć!

Mały człowieczek skoczył, jak gdyby go prąd elektryczny raził.

— Niepodobieństwo! — zawołał, spojrzawszy na zegar, wiszący na ścianie w głębi garażu. — Jest teraz dokładnie jedenasta minut czterdzieści dwie; pociąg odchodzi za cztery minuty.

— Musi tak być, mówię panu. Zapłacę, co będzie trzeba... i do tego z góry. Czy ma pan gotową maszynę?

— Jest ta tutaj... ale muszę napełnić powietrzem jeszcze jeden pneumatyk.

— Więc spiesz się pan!

— Kiedy to niepodobna, doprawdy panie...

Podczas gdy biedny Blosscham związał się przy maszynie, ująłem wiadro, naczepiłem wody przy studni i z pomocą chustki szybko zmyłem szkaradną maść, która mi twarz szpeciła.

— No i cóż, czy poznajesz mnie pan teraz? — zapytałem, przystąpiwszy bliżej.

— Ach! pan Dickson! co za niespodzianka!... A to dopiero! Gdybym był mógł przypuścić, że to pan, ten brzydki jegomość... ach przepraszam... chciałem powiedzieć...

— Dobrze, dobrze... spiesz się pan!

— Żeby się panu przysłużyć, panie Dickson, zrobię wszystko, co możliwe i więcej, niż możliwe.

I rzeczywiście zaczął się związać ze zdwojonym pospiechem. Ten człowiek miał względem mnie dług wdzięczności, gdyż niedawno temu dopomogłem mu w bardzo zawikłanej sprawie, przyczem wykazałem jego niewinność i obroniłem jego honor. Byłem pewien, że i on wszystko zrobi dla ocalenia mojego.

— Jestem gotów, panie Dickson — rzekł po krótkiej chwili. — Niech pan wsiada, jedziemy! Jarry! Jarry! daj baczenie na garaż, wyjeżdżam na kilka godzin!

Ruszyliśmy z miejsca.

W tej samej chwili ostry świst lokomotywy oznajmił nam, że kurier wjechał na stację. Odległość pomiędzy Brood-West a Melbourne wynosi tylko czterdzieści dwa kilometry koleją, drogą jednakże do pięćdziesięciu trzech, gdyż droga prowadzi zakrętami, a w środku jej znajduje się dość wysokie i mocno strome wzgórze. A zresztą — i w tem była cała trudność — kurier w trzydzieści pięć minut przebywa całą tę przestrzeń. Trzeba więc było dobrać się do przyspieszenia, ażeby go wyprzedzić.

Maszyną o sile sześćdziesięciu koni, jaka nas wiozła, nie przedstawiało to trudności, o ilebyśmy na drodze nie spotkali żadnej przeszkody i mogli przebyć szybko miasteczka Long House i Merry-Town, dosyć puste miejsciny. Przez pierwsze siedm kilometrów mniej więcej jechaliśmy wzdłuż toru kolejowego, to też z radością widziałem, że kurier zostawiamy w tyle; wkrótce jednakże wypadło nam zjechać na krętą drogę i zacząć podjeżdżać pod Dya-belską Górę, wznoszącą się pod kątem piętnastu stopni. Automobil Blosschama szczęśliwie wydostał się na wzgórze i teraz z szaloną szybkością pędziliśmy ku Long House. Kuryer musiał być w tej chwili bardzo daleko za nami, a ja radowałem się w duszy na myśl o Stangu, który ani przypuszczał, że detektywy przyłapie go na gorącym uczynku w Melbourne i już go nie puści.

Mój plan był bardzo prosty. Pójdę za nim krok w krok, albo, jeżeli będzie potrzeba, każę go tropić tajnym agentom... Zanim się założę kajdanki mojemu pseudo-krewniakowi, trzeba będzie wprawdzie zebrać pewne wskazówki, niezmiernie ważne dla mnie. Morderca pana Hugona Chancera mógł mieć współników. Może więc będę miał do czynienia z potężnie zorganizowaną bandą rzezimieszków i złodziei. Stang wydawał mi się za głupi, żeby miał sam jeden być twórcą pomysłu zbrodni... A jednak był on jej narzędnikiem, wszystko tego dowodziło; to też należało szybko wyjaśnić, co jeszcze pozostawało niejasnem w wykonaniu tak zręcznie obmyślanej zbrodni. A przede wszystkim nie podobna było przypuścić, by zbrodziej morderca poszedł sobie, nie wyciągnawszy żadnej korzyści ze swego zbrodniczego czynu. Znaleziliśmy w biurczku pana Hugona Chancera znaczną sumkę w złocie, trudno jednak było uwierzyć, by cały majątek starego pana ograniczał się do stu osmdziesięciu funtów gotówki. Musiały być jeszcze jakieś papiery, złożone prawdopodobnie u jego zastępcy prawnego... Przedewszystkiem więc winienem się znieść z owym zastępcą prawnym nieboszczyka; szczęśliwy przypadek odkrył mi jego imię; był nim M. R. C. Withworth, Fitzroy Street 18 w Melbourne. Trzeba się więc będzie zgłosić do tego pana Withworth, gdyż on prawdopodobnie musiał być pośrednikiem pomiędzy panem Chancere a różnymi australskimi bankami.

Przejechaliśmy już miasteczko Merry Town i już nam się zaczęły ukazywać z daleka pierwsze domy miasta Melbourne, gdy nagle automobil nasz zaczął się zacinąć. Najpierw odezwało się kilka szybkich i głośnych eksplozji, a potem już ciszej ciągnęło się dalej jakieś chorowite parskanie.

Zbladłem, a Blosscham zaklął nieprzystojnie.

— Przekonaj się pan, co to jest! — zawołałem, chwytając go za ramię.

Blosscham zeskokczył i zaczął badać maszynę.

— Nie chce się zapalać! — rzekł, nachylony nad motorem.

— Co się zepsuło? — pytałem niecierpliwie.

Uderzył się w czoło gestem rozpaczliwym, pobiegł do miedzianego rezerwoaru, umieszczonego na froncie, odkręcił korek, zajrzał i żałośnie zawołał:

— Benzyny brakło, panie Dickson!

Miałem ochotę zadusić go na miejscu. Wściekłość moja wybuchła potokiem łajania i kłatw.

— Myślałem, że wystarczy, panie Dickson!...

— Myślałeś pan, że wystarczy!... Ach idyoto, niedołego ostatni! Przez pana ucieknę mi jeden z najniebezpieczniejszych morderców... a moje dobre imię... a...

Drwiący gwizd kuzyna, przelatującego o kilka metrów od nas, zamknął mi usta i wprawił mnie w niemą rozpacz. Gdyby to przynajmniej telegrafować można, albo zatelefonować na stację Melbourne! Ale nie. Byliśmy o jakie pół mili od Merry Town i pociąg przyszedłby wprawdzie, nim jabyśmy zdążyli na pocztę w tem mieście...

Nie posiadałem się z rozdrażnienia, mój poczciwy Blosscham zaś przysiadł na zapyłonym gościńcu i głośno desperował. Wkońcu uspokoiłem się i spojrziałem na zegarek. Było dokładnie dwadzieścia minut po dwunastej i pociąg musiał właśnie wjeżdżać na stację.

— Może jednakże nie wszystko przepadło — zacząłem rozumować. — Bardzo być może, że ten